

Wspomnienia z utraconego dzieciństwa:

okupacji niemieckiej w Polsce w czasie II wojny światowej z punktu widzenia żydowskiego dziecka



Referat profesora Józefa Lipmana wygłoszony w Görlitz 15.02.2007 w sali kina Apollo dla Stowarzyszenia "Synagoga Görlitz"

Wspomnienia z utraconego dzieciństwa: okupacji niemieckiej w Polsce w czasie II wojny światowej z punktu widzenia żydowskiego dziecka

**Referat profesora Józefa Lipmana wygłoszony w Görlitz 15.02.2007 w sali kina
Apollo dla Stowarzyszenia "Synagoga Görlitz"**

Szanowni Państwo!

To chyba jakiś cud, aż trudno w mi to uwierzyć, że ja mając stale i wciąż wyrok śmierci wydany przez Niemców, siedzę tu i teraz w Waszym towarzystwie i opowiem, właśnie Wam jak to 66 lat temu Niemcy, najbardziej kulturalny naród w ówczesnej Europie omamiony hitlerowską ideologią zniszczył naród, z którego się wywodzę, Naród żydowski. I to im się niestety w pełni udało. Dokonali tego zwykli ludzie, tacy jak my, czy wy, czy tu obecni, zwyczajni ojcowie, bracia, mężowie, wujkowie, bratankowie, siostrzeńcy, zięciowie itp., w mundurze stali się zdziczalymi mordercami niewinnych i bezbronnych dzieci i starców, kobiet i mężczyzn.

Ja niestety mam prawo tak myśleć i mówić o tych strasznych czasach. A przeżycia te zostawiły głęboką rysę w moim życiu. Dla Niemców ciężkim przeżyciem było „Vertreibung”. Na nas spadła ...zagłada, S H O A H...., Holocaust 6-ciu milionów Żydów!

Ja, „Untermencz” w/g ustaw monachijskich i ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, mimo to pokochałem i poślubiłem Niemkę, bo pomimo nieludzkich doznań w okresie okupacji niemieckiej, zawsze wierzyłem w zwycięstwo dobra nad złem.

Cieężko mi o tych strasznych wydarzeniach mówić do Niemców, że może ich nawet bliscy krewni dopuścili się zbrodni ludobójstwa.

Można śmiało powiedzieć, że w tym „diabelskim tańcu” brały udział cały Niemcy.

Wybuchła wojna, 1 września 1939 r. Ja w lipcu właśnie skończyłem 8 lat i 1-szą klasę szkoły powszechnej. Do wojny przygotowywaliśmy się przez kilka tygodni. Wymalowaliśmy wszystkie pokoje i pomieszczenia w całym domu, zrobiliśmy zakupy artykułów spożywczych, aż 2-wa worki mąki, worek kaszy, a co najważniejsze, wybudowaliśmy w ogrodzie schron przeciwlotniczy. Był to głęboki rów na 3,5 m. w kształcie litery „L” długości ok. 10 m.

Przykryty był balami z drzewa i okryty metrową warstwą ziemi. Słuchaliśmy w radiu, że nie oddamy Niemcom ani jednego guzika, piosenki wojskowe, jak wykonać sposobem domowym maskę przeciwgazową. I już byliśmy gotowi do wojny!

Niemcy wkroczyli do naszego miasta pod koniec września od strony Słowacji, to był „koci skok”, nikt się ich nie spodziewał od tej strony, tj od południowego wschodu.

Wojsko niemieckie tylko jeden raz przemaszerowało uliczką koło naszego domu. Żołnierze byli porządnie umundurowani, a dobrze utrzymane konie ciągnęły duże armaty. U nas zamieszkali dwaj oficerowie i ordynans. Byli grzeczni, chyba wiedzieli, że jesteśmy Żydami. Znikali na cały dzień, wracali wieczorem małym wojskowym samochodem. Zawsze z rulonami map czy rysunków. Ordynans pilnował ich pokoi na piętrze. Czyścił często ich auto, które pomimo pogody było stale zabłocone. Ojciec mówił, że chyba robią spisy kopalń naftowych i rafinerii itp.

Po około 10 dniach, wieczorem, po cichu wyjechali.

Rano na naszej ulicy stały już sowieckie tankietki. Sowieccy żołnierzy siedząc na tankietkach przyjaźnie uśmiechali się do przyglądających i do dzieci.

Byli dziwnie umundurowani, ubrania były jakby uszyte z kołder, parciane pasy i wysokie buty, nas dziwiło, że nie ze skóry. A na spiczastych czapkach mieli 2-
wie gwiazdy, jedna na drugiej, większa z płótna, a druga mała metalowa, obie
czerwone. Ta z metalu miała sierp z młotem.

Odtąd gwiazdy różnego formatu towarzyszyły nam zawsze i wszędzie, na ulicy,
w szkole, w kinie i przy wszystkich innych okazjach. Doszły też portrety
Stalina, Lenina, Marksa i Engelsa. Ojciec jako inżynier budowlany był
właścicielem przedsiębiorstwa budowlanego i tartaku. W mniemaniu władzy
sowieckiej rodzina nasza należała do burżui, do tej kategorii ludzi należał
posiadacz sklepu jubilerskiego, konfekcji, sklepu z obuwem i tp. Wszystko co
posiadaliśmy zostało znacjonalizowane, a nam groziła wywózka, jak się wtedy
mówiło na Sybir. Życie było bardzo ciężkie, nie było niczego, ani sklepów, ani
towaru. Sklepy, tzw. „konsumy” zrobiono w willach i domach dawnych
właścicieli, których uwięziono lub zesłano w głąb sowieckiego państwa.
Podstawowe artykuły było ciężko zdobyć, stało się całymi godzinami w
kolejkach po chleb. Specjalnością władzy sowieckiej były: propaganda i
stołówki, w szkole, w pracy, wszędzie śmierdziało garkuchnią. Głównym
źródłem jedzenia były przydomowe ogródki warzywne.

Mordęga z władzą sowiecką trwała do czerwca 1941 r.

Wybuch wojny sowiecko – niemieckiej (21 czerwca 1941 r.)

Na Rosjan zajmujących nasze tereny ta wojna spadła jak „grom z jasnego
nieba”! Rosyjska ludność pośpiesznie opuszczała miasto. Na końcu w pośpiechu
uciekło wojsko, niszcząc elektrownię, dworzec kolejowy i część przemysłu
naftowego. Przez kilka dni Borysław był ziemią „niczyją”. W ostatnich dniach
czerwca miasto zajęli Niemcy. Wojska nie było dużo, ale za to zaroilo się od
wszelkiego rodzaju policji (Schutzpolizei, Reiterzugpolizei, Kripo, Gestapo,
komanda SS). Nasze tereny nazwano Ostgalizien i zostały włączone do
Generalnej Guberni.

Władze niemieckie już po tygodniu zezwoliły Ukraińcom na pierwszy pogrom Żydów w odwecie za dokonanie masakry uwięzionych przez NKWD. Zabito ok. 240 mężczyzn i kilka kobiet. Władze niemieckie zaczęły stosować coraz ostrzejsze restrykcje w stosunku do ludności żydowskiej. Częste rewizje, połączone z rabowaniem kosztowności, złota, srebra, kilimów i dywanów, drogich futer, obrazów, mebli. Dobrze wprawieni w bandytyzmie liczni policjanci całymi dniami i nocami grasowali po żydowskich domach. Wydano zarządzenie o natychmiastowym oddaniu aparatów radiowych i fotograficznych, rowerów, motocykli i innych pojazdów, koni i zwierząt gospodarczych. Wydano zarządzenie, że Żydzi mogą się poruszać wyłącznie po jezdni, a do Niemców mają zwracać się „gnejdige Herr”, po zdjęciu czapki z głowy. Wyszedł nakaz noszenia opaski z gwiazdą Dawida, a nieco wcześniej ustalono godzinę policyjną od 20.00 do 5.00 rano. Było to bardzo niebezpieczne, bo nawet nieznaczne przekroczenie czasu groziło dużą grzywną, a nawet śmiercią. Celowali w tym procederze konni policjanci. W tym czasie utworzono też „Judenrat” i „Ordnugsdienst”. Jeszcze w lipcu Niemcy przeprowadzili 2 akcje (2 i 3 pogrom), w których zginęło ok. 1500 dzieci, kobiet i starszych ludzi. Rozstrzelano ich na peryferiach miasta, obok rzeźni. W tym też okresie utworzono nową jednostkę policyjną „Ukrainische Hilfspolizaj”, odznaczającą się wyjątkową i krwawą brutalnością.

Z 2-ch małych i ubogich dzielnic Borysławia tak zw. „Debry” i „Nowy Świat” błyskawicznie utworzono „dzielnicę żydowską”. Ten kwartał miasta mieścił się wśród hałd górniczych kopalń wosku ziemnego i olbrzymiego rozlewiska szlamów kopalnianych. Domy tu stojące nie miały kanalizacji, elektryczności i gazu do opału, były to zwyczajne rudery. Między dzielnicą żydowską, a dzielnicami aryjskimi można było poruszać się prawie swobodnie, nie wolno było jednak wchodzić do sklepów aryjskich, ani tam gdzie pisało „fur Juden Eintritt verboten”. Wyjście z dzielnicy żydowskiej było prawdziwym szczęściem, bo można było kupić lub wymienić jakąś rzecz na kawałek chleba,

kilka kartofli, kawałek słoniny lub sacharynę. W cenie była melasa, odpady z produkcji cukru. Nic nie kupowało się na wagę, tylko wszystko na sztuki lub na litry. W szczególnej cenie było zboże, pszenica lub żyto, ziarno mielono na mąkę w młynku do kawy, a następnie gotowało się na gęstą masę, a na talerzu polewano melasą lub posypywano skwarkami – prawdziwa pycha.

I ta „rozkosz” nie trwała długo. Któregoś dnia nad ranem ok. godz. 5, usłyszeliśmy krzyki, płacze, wrzaski, nawoływania....komendy i krzyki po niemiecku: los, schnell, dali dali, verfluchter Jude, du schwajne Jude ! Na wszelki wypadek weszliśmy do zrobionego, zaraz po zamieszkaniu w dzielnicy, schowka. Ojciec był budowlańcem i szybko umiał znaleźć takie miejsce. Akcja (4-ty pogrom) trwała cały tydzień. Byliśmy cały czas w schowku bez picia i jedzenia.

Najgorzej było z piciem, ja żułem chusteczkę, a potem ją ssalem i to zastępowało wodę. A jeść się wcale nie chciało, zupełnie nie było najmniejszej potrzeby. Po około 7-miu dniach zapanował absolutny spokój, na ulicy i wszędzie. I to nas ośmieliło na wyjście ze schowka.

W getcie

Na ulicy przechodziły pojedyncze osoby, nie tak jak dawniej. W oddali na ulicy stał szlaban i z boku buda, a przy nim kilku Niemców i ukraińskich policjantów. Nasz dom stał jako 2-gi od szlabanu. Zaraz dowiedzieliśmy się, że powstało Getto. Jesteśmy teraz już zamknięci i nie wolno się kontaktować ze stroną aryjską, ani z aryjczykami. Z getta można było wyjść jedynie w zwartej kolumnie do pracy, a indywidualnie za specjalną przepustką. Ci, którzy pracowali po stronie aryjskiej zaopatrywali Getto, między innymi mój ojciec. Mieszkaliśmy w dwóch pokojach z kuchnią, która strasznie dymiała na całe mieszkanie, nie było w niej kompletnie tzw. zugu do komina. Ojciec stwierdził, że poprzedni lokator, aryjczyk zrobił nam psikusa, wsypując do komina kilka wiader ziemi z gruzem. Chyba on nie był sympatykiem Żydów !

W mieszkaniu tym mieszkali oprócz nas trojga, również brat ojca, dentysta z żoną i 6-cio letnim synkiem i prowadził gabinet dentystyczny. Póki mogli przychodzić aryjscy pacjenci to powodziło mu się dobrze, płacili przeważnie w naturze tj. artykułami spożywczymi. To się skończyło jak utworzono getto. Pamiętam jak kiedyś zgłosił jako pacjent Niemiec, policjant z Reiterzugpolizei. Wujek wyleczył mu kilka zębów, a na koniec zażądał, aby mu dać uszyć Reitthosen ze skórzanymi flekami do konnej jazdy, jego życzenie musiało zostać bezpłatnie spełnione..

Życie w getcie stawało się gehenną. Jak nastała jesień i zima, deszcze i mrozy ok. 15-to do 25-cio stopniowych mrozów robiło spustoszenie. Prawie zupełny brak żywności i jakiegokolwiek opału, bo wszystko co można było spalić i można było zjeść zostało zjedzone i spalone. Ludzie chorowali na gruźlicę, na tyfus plamisty (Fleckenfieber), na śmierć głodową. Na budynkach, w których chorowano na tyfus był czerwony ostrzegający plakat „Feckenfieber”. Patrząc na taki dom z zewnątrz, wydawało się, że i dom też jest chory, ciemne okna, zamknięte drzwi, cisza wokoło i straszna pustka. Taki dom zionął śmiercią. Wozy ręczne ciągnięte przez grabarzy wiozące trupy, czasami całe martwe rodziny, kilka razy dziennie krążyły po naszej ulicy. A najstraszniejsze to były na skraju życia żebrzące dzieci wołające cichutko po żydowsku: frau gibc epys cu esen, ich bejtach. Tego wołania nie zapomnę aż do śmierci.

Choroby, głód, śmierć, były na porządku dziennym, do tego doszły łapanki z ulic i domów, akcje i wywózki po kilkaset osób. Złapanych Żydów zbierano w dawnym kinie, aż zebrała się odpowiednia ilość, wtedy wywożono całą grupę na zagładę do Bełżca lub lasów Branickich. Moja rodzina też stawała się coraz mniejsza.

Pierwszy zginął wujek, mąż siostry ojca, nie chciał się schować, bo służył w wojsku niemieckim w 1-szej wojnie światowej i był odznaczony żelaznym krzyżem. Pokazał go Niemcom, zwracając się do nich „Kamaraden”, krzyż rzucili na ziemię, a jego „poczęstowali” sążnistym kopniakiem, mówiąc przez

takich jak wy Żydzi, przegraliśmy 1-szą wojnę. I wepchnęli go na ciężarowe auto, zginął pod rzeźnią. Następnie zginęła siostra mamy, ciocia Eścia z 2-wiema córeczkami. W dalszej kolejności dopadli matkę mego ojca, babcię Rebeke, prawie jednocześnie zginęła żona wujka dentysty, ciocia Lusja z synkiem Tuśkiem. I teraz niemiecka machina ruszyła pełną parą: we Lwowie zginęli dwaj bracia mamy Leon i Mojżesz wraz z żonami i kuzynka Mirką, uczennicą gimnazjum. W Starzawie zginęli Babcia, matka mojej mamy, wujek Jakub, brat mamy, jego żona i trójka dzieci, Manek, Zosia i Lola. Manek właśnie przed wybuchem wojny zdał maturę. Rodzina ta została rozstrzelana na terenie własnego kamieniołomu. A nieopodal w mieście Turka zabito dalszego brata mamy Lejzora z małżonką i dwiema córeczkami. I tak to cała najbliższa rodzina mojej Mamy, rodzina Gottliebów została wymordowana. Rodzina Ojca też została mocno wyniszczona w licznych akcjach, które były coraz częstsze i trwały dłużej. Do pomocy przyjeżdżali wówczas komanda SS ze Lwowa i Drohobycza.

W getcie było już coraz mniej ludności i bardzo niebezpiecznie. Wujek dentysta z rodziną wyprowadził się, bo po drugiej stronie ulicy było puste mieszkanie. Po kilku dniach przeplaciła życiem tą przeprowadzkę, zabili jego żonę i synka.

Zaraz po wkroczeniu Niemców ojciec został wezwany do pracy w tartaku, który przed wojną był jego własnością. Tartak został upaństwowiony (Staatliche Segewerke) i pracował na 3-rzy zmiany. Dużo drzewa wysyłano do Niemiec. Dyrektorem tartaku był niejaki Felzmann, Niemiec z Gdańska, a mój ojciec jako Schnittplatzmeister, de facto kierował całą produkcją. Żydzi nie byli opłacani lecz wynagradzani w naturze, chleb, oliwa, kasza itp. Ojciec tak prowadził tartak, że część dochodów szła do kieszeni dyrektora. Dyrektor dawał w pracy ojcu dużą swobodę, także w doborze pracowników, to też ojciec zatrudnił dużo Żydów, również i mnie. To dla mnie było prawdziwym dobrodziejstwem, nie musiałem siedzieć w getcie i czekać na śmierć. Do getta, gdzie stale „polowano” na dzieci, kobiety i starszych ludzi, nie wracałem na noc, spałem w stolarni na

posłaniu zrobionym z trocin i wiórów wsypanych do dużej skrzyni. Na to moje pozostawanie na noc w tartaku, dał zezwolenie sam dyrektor. Ojciec odwdzięczał się dyrektorowi drogimi obrazami ze swojej kolekcji, które przechowywał u zaprzyjaźnionej ukraińskiej rodziny.

To szczęście trwało ponad rok. Felzmanna odwołano z tartaku i wcielono do wojska. Opowiadano, że zatrudniał za dużo Żydów, bo ciągle o żydowskich pracowników upominało się gestapo, a Felzmann im odpowiadał, że są to niezbędni fachowcy .

Następny dyrektor tartaku był prawdziwym bawarczykiem, też bardzo potrzebował pomocy mego ojca. Oddał część żydowskich pracowników na gestapo i miał spokojne sumienie. Hulał cały dzień z dubeltówką i pejczem, polował na robotników palących papierosy i okładał ich pejczem lub strzelał do wron i gawronów, bo ptaki te zanieczyszczały deski i belki. Ja i starszy Żyd właśnie pracowaliśmy przy oczyszczaniu i porządkowaniu placu gotowych wyrobów i musieliśmy usuwać te ptaki, a mój współtowarzysz pracy miał wątpliwości czy dobrze robimy grzebiąc te ptaki zamiast je ugotować i zjeść. Dyrektor ten jak szybko przyszedł tak szybko poszedł. Zabrał wszystko z mieszkania co się tylko dało. Mieszkanie to ojciec wybudował wraz z budynkiem biurowym na terenie tartaku, mieszkał w nim przed wojną księgowy z małżonką, było komfortowo urządzone.

Teraz dyrektorem tartaku został zawodowy oficer w stopniu Hauptmanna. Był inwalidą, nie miał ręki do łokcia. Był bardzo wysoki i szczupły. Wszystkich traktował przedmiotowo i oziębłe. Ojciec podsłuchiwał jego częste rozmowy z gestapo i policją, zawsze dotyczące spraw żydowskich. Ja na wszelki wypadek opuściłem tartak i znalazłem się getcie i coraz częściej siedziałem w schowku z mamą, gdy tylko ktoś pukał do drzwi, natychmiast się ukrywaliśmy. W końcu szwagier ojca, również dentysta, pracujący włącznie dla Niemców, zaproponował, że możemy się ukryć u niego w piwnicy. Tam było dość bezpieczne miejsce, bo przebywali tam stale niemieccy pacjenci. Wujek musiał

coś wiedzieć, bo nad ranem rozpoczęła się straszliwa akcja, po której getto opustoszało. Schowani byliśmy w małej ślepej, ciemnej piwniczce z zasypanym okienkiem. Było nas razem 13-cie osób. Jak zapalono świece to po chwili gasła, bo w powietrzu było za dużo dwutlenku węgla. Kilka osób dostało napadu szału. A na dodatek wrócił pies wujka, którego oddano aryjskiej rodzinie i zaczął odgrzebywać zamaskowane okienko, co chwilę biegając do ulicy i powrotem jak gdyby chciał pokazać ludziom z ulicy, że ktoś jest w piwnicy. Skończyło się tragicznie dla psa, zwabiony do innego okna i pomieszczenia przez dwóch mężczyzn został uduszony. Powrót po tej akcji do domu zapamiętałam na całe życie. Musieliśmy przejść wzdłuż całego getta, była późna jesień, ciemno, mocny wiatr, nie napotkaliśmy żywego człowieka, a dookoła słychać było trzaskające pootwierane drzwi i okna i z nich wylatujące i tłukące się szyby. Ta pustka i ten łoskot zionął prawdziwą otchłanią. Tą akcją nie tylko my byliśmy zmęczeni, ale chyba także i Niemcy, bo w getcie zapanował jakiś krótki, bo krótki, ale spokój.

Był to jednak spokój przed ostateczną burzą. Skoszarowano mężczyzn, pracujących w przemyśle naftowym, drzewnym i tak zwanych innych fachowców. Ojciec mój również został skoszarowany i to, coś nazwane zostało „Arbeitslager für Juden”. Do getta ojciec przychodził teraz jeden lub dwa razy w tygodniu. Przynosił kilka porcji zaoszczędzonego chleba, trochę ziemniaków, margaryny lub oliwy z lnu. Bardzo się wtedy cieszyłem, w domu była prawdziwa radość. Tych radosnych momentów nie pamiętam, zdaje mi się, że nie pamiętam czy choć raz świeciło słońce, chyba nigdy !

Jakoś w tym czasie właśnie wyszedłem z mamą na ulicę, niedaleko domu i po chwili, ludzie zaczęli biec i uciekać wołając: łapią, Niemcy łapią...pobiegliśmy na nasze podwórko i do drzwi wejściowych, ale te były zamknięte od wewnątrz co się nigdy przedtem nie zdarzało. Kto je zamknął, kiedy i po co? Na szczęście w pęku kluczy mieszkaniowych był również klucz od komórki na opał. Otworzyłem czym prędzej drzwi od komórki i wepchałem do niej mamę,

zamykając za nią drzwi na kłódkę i czym prędzej uciekłem na tył posesji, a dalej sobie znanymi zakamarkami znalazłem się na skraju dzielnicy aryjskiej. I tu jakby z pod ziemi wyrósł przede mną jak olbrzymi pomnik, to był Reitterzugpolizei. Popychał mnie końskimi przednimi nogami w stronę getta. Ja byłem tak wystraszony, że na krzyki policja, krzyczałem też: ja nie jude, ja nie jude! I tu przyszli mi z pomocą chłopcy ukraińscy, którzy w pobliżu paśli krowy, wołając po ukraińsku: „on ni Jude, on ni Jude, chody do nas”. Po tym nawoływaniu Niemiec powoli się oddalił. Tych chłopców to zesłał chyba sam Pan Bóg ! Po chwili bez przeszkód pobiegłem do ojca do tartaku. A co stało z mamą? Wieczorem, następnego dnia, gdy się uspokoiło, ojciec przekradł się do getta, jak zobaczył, że nasza komórka jest nie naruszona, a wszystkie inne mają wylamane zamki i są otwarte. Wypuścił natychmiast mamę, Była cała i zdrowa i jeszcze 3- inne osoby, które wślizgnęły się w czasie, gdy ja otworzyłem komórkę. Fakt ten w tym napięciu uszedł całkowicie mojej uwadze, nic nie pamiętałem. Mama opowiedziała ojcu, jakie miała szczęście, Niemcy systematycznie otwierali jedną komórkę po drugiej, gdy doszedł do naszej Niemiec z którejś poprzedniej komórki zawołał: „Franz, wo hast du die Lampe”, i ten od naszej komórki odszedł, wrócił po chwili, stuknął w naszą kłódkę tylko i zabrał się do otwierania następnej i ostatniej komórki. Czy nie jest to wszystko w rękę Boga, czy tylko szczęście? Ja po tym incydencie z polizeiem zostałem u ojca w lagrze. Mama została sama w domu w getcie, pewnego wieczoru weszli dwaj szupowcy (Schuzpolizej) i chcieli ją zabrać na punkt zborny. Mama prosiła żeby ją zwolnili, że da im kosztowności schowane na zewnątrz, a najpierw przygotuje dla nich herbatę. Wyszła do kuchni zaczęła się krzątać, otworzyła zakratowane okno i jakimś cudem prześliznęła się pomiędzy szczeblami krat i wyskoczyła przez okno. To był prawdziwy cud. Mama natychmiast uciekła na stronę aryjską, знала tajemne przejścia do wyjścia z getta Znalazła schronienie u naszych przedwojennych sąsiadów, była to ukraińska rodzina, u których już w

pierwszych pogromach znajdowaliśmy ratunek i na których mogliśmy zawsze liczyć!

obóz pracy dla Żydów i ukrycie

W czerwcu 1943 r. getto zostało ostatecznie zlikwidowane. Teraz Niemcy stale penetrowali lager, szukali i wyłapywali ukrywające się rodziny, oficjalnie tam pracujących Żydów. Ojciec przeprowadził mnie po kryjomu do mamy, która ukrywała się u naszych ukraińskich przyjaciół. Schowek znajdował się za stertą siana na strychu stajni. Był i 2-gi schowek w tej stajni w korytarzyku, gdzie stała sieczkarnia. Tam była mała piwniczka na buraki. Wchodziło się do niej po uniesieniu kłapy w podłodze. Do tej piwniczki musiał nas ktoś wpuścić i zamknąć klapę za nami. Piwniczka była tak płytka i mała, by wejść do niej trzeba było wpełznąć na brzuchu lub na plecach i w tej pozycji pozostać cały czas pobytu, aż do 5-tej rano (od 5-tej do 5-tej), bo o tej porze przychodziła nasza gospodyni doić krowę. Wypuszczała nas wtedy z piwnicy, dawała coś do jedzenia, mogliśmy umyć twarz i ręce i powrotem hajda do piwniczki, raz na brzuchu, raz na plecach. W piwniczce byliśmy w zimie, bo było cieplej, a w lecie na strychu. Dach stajni był kryty blachą i w słoneczne dni temperatura była bardzo wysoka jak na Saharze. W takie dni moczyliśmy prześcieradło w wiadrze wody i po wykręceniu go, nim się owijano. Pobyt na strychu był o wiele lepszy. Obserwowałem ptaszki, które przylatywały na strych i przy najmniejszym ruchu odlatywały. Ja chciałem być ptaszkiem i marzyłem, że też bym latał sobie po dworze. Miałem też inną zabawę, obserwowałem pająki jak robią pajęczynę, jak łapią muchy, jak je wysysają i wyrzucają suche wydmuszki much. Ja też łapałem muchy i wrzucałem na pajęczynę, tymi muchami się pająki interesowały i konsumowały. Lecz czasami mucha się odbijała od pajęczyny i uciekała, ja im uniemożliwiałem im ucieczkę wyrrywając skrzydełka, a czasami i nóżki. Następnie podglądałem narodziny myszek i ich dzieciństwo.

Tak też nam zleciło ponad 7-dem miesięcy. W tym czasie ojciec kilka razy nas odwiedził. Na wskutek złapania Żydów niedaleko od naszego schowku, nasi

dobroczyńcy przenieśli nas do stogu siana na polu. To zapewniało bezpieczeństwo naszym gospodarzom, że bez ich wiedzy mogliśmy sami tam szukać schronienia.

Gdy w lagrze było względnie spokojnie, ojciec zabrał mnie do lagru na „odpoczynek”. Na terenie lagru był zakład produkcyjny do wyrobu łopat. Kierownikiem tych zakładów był ojca kolega i on na prośbę ojca dał mi pracę przy ostrzeniu łopat. Najgorsze było kręcenie się bez pracy w lagrze, a na dodatek, jeżeli to było dziecko. Jego los stawał się zagrożony. Spałem na górnej pryczy razem ojcem. W lagrze była plaga pluskiew i wszy. W lagrze była łaźnia (Baderaum) i odwszalnia, z czego namiętnie korzystałem. Mój ojciec opracował metodę pozbycia się części wszy wkładając pod koszulę na bark świeżo wypraną chusteczkę do nosa. Po ok. 20-tu minutach chusteczka była pełna wszy, teraz należało ją wybrać i wytrzepać, najlepiej nad żywym płomieniem. Ja też miałem własną metodę usuwania pluskiew z pryczy, przy wszystkich złączach pryczy trzymałem palącą się świecę i przypalone pluskwy leciały jak woda z kranu. Raz przed spaniem przyłapała mnie na tej robocie cała świta gestapowców, robiących nocny obchód, ja nie zauważyłem jak weszli. Ojciec zamarł z przerażenia, oni się chwile przyglądali, a następnie powiedzieli, ty robisz dobrze, rób dalej (du machst gut, mach weiter). Po pracy wydawano zupełkę brukwi i kapusty i 1/8 część z 2-wu kg. chleba tj. dokładnie 250g.

Nastała jesień, w warsztacie zjawili się kilku ukraińskich żandarmów i między innymi chłopakami wybrali mnie, po ok. godzinie oczekiwania, gdzie różne myśli przychodziły mi do głowy, okazało się, że jesteśmy przydzieleni do pracy przy kopcowaniu ziemniaków. Były już wykopane doły ok. 20 m. długie, 3 m. szerokie i ok. 1 m głębokie, a myśmy słomą wyścielali dno rowów i ściany boczne miarę napełniania kartoflami rowu, przykrywano je słomą i zasypywano, uprzednio wykopaną ziemią. Nie było końca tej roboty, wciąż przyjeżdżały konne furmanki. Praca trwała do zapadnięcia ciemności i tak przez kilka tygodni. Między czasie zaczęliśmy „podbierać” kartofle do spodni na dole

zawiazanych sznurkiem, wpuszczaliśmy je przez przedziurawione kieszenie. Do jednej i drugiej nogawki wchodziło po 8 do 10 kartofli. Po pracy ukraiński Wachman rozkazał nam biec na wartownię i to było prawie nie wykonalne. Musieliśmy spuścić spodnie, wybrać kartofle i ze spuszczoneymi spodniami przejść do wartowni, gdzie leżąc na ławie dostaliśmy po 25 pejczów jeden po drugim. Ja nie krzychałem to dostałem chyba mniej, kolega się darł w niebogłosy to oberwał znacznie więcej, jego krzyk sprawiał wyraźnie im przyjemność. Ziemniaki miały dla nas zarówno w getcie jak i lagrze olbrzymią wartość, w getcie mama gotował tylko dla mnie jednego ziemniaka, lub piekła go na blacie kuchennym pod garnkiem. W lagrze z utartych kartofli pieczono w dużych foremkach gruby na 15-20 mm placek zwany „gerybenyk”, zastępował nam chleb.

Lagier mieścił się w dawnych koszarach wojskowych i przebywało w nim około 400 osób. Większość ludzi pracowała poza lagrem, wychodziła z lagru o 5-tej rano, a wracali ok. 17-tej. Wszystkie domy i pomieszczenia oraz stajnie były zajęte. Myśmy mieszkali w olbrzymiej końskiej stajni gdzie stało ok. 40-ci podwójnych pryczy i olbrzymia kuchnia z wielkim blatem opalana drzewem. Wieczorem była w ciągłym użyciu służyła do gotowania, do pieczenia, do suszenia bielizny, garderoby, obuwia itp. Przy kuchni był stale tłok. Ja też w lagrze zarabiałem, robiłem opaski z gwiazdą Dawida. Ojciec przynosił mi brystol kreślarski i kalkę maszynową, kuzyn mamy, który był lekarzem rentgenologiem dawał mi zużyte klisze, od szewców pracujących w lagrze dostawałem kapsle z dziurką i sznurówki. Wycinałem według szablonu gwiazdę Dawida z brystolu pod nią podkładałem niebieską kalkę i elastyczny kartonik lub brystol, na wierzch bezbarwną płytkę celuloidową obmytą wodą z emulsji, to wszystko spinałem dwoma kapslami i opaska gotowa. Sprzedawałem, chodząc wieczorami po wszystkich możliwych pomieszczeniach, zarobek przeznaczałem na kupno słodkiej bułeczki lub szklanki ciepłego mleka wypijanego na miejscu.

Minęło trzy tygodnie, a może trochę dłużej. Teraz poczułem się doroślejszy, ale wiele nie urosłem, bo wszystkie rzeczy, koszula ubranko i płaszczyk były ciągle dobre. Jedynie sweterek się nieco skurczył i przypalił w odwszalni. Tylko z butami miałem kłopot już od pierwszego dnia po wprowadzeniu się do dzielnicy żydowskiej. Zostaliśmy w pierwszą noc obrabowani. Bandyci nie musieli się wiele trudzić, bo prawie wszystko było jeszcze spakowane. Udawaliśmy, że mocno śpimy, by bandyci się nami nie zajęli. I ja wtedy straciłem moje jedyne buty, które były kupione jak to się mówiło na wyrost. Dostałem przydział pracując w tartaku na drewniaki (Holdzschue). Były one niestety o wiele za duże, ale stolarze wypchali mi je wiórami, które przykryto gazetami i dopiero teraz nieco odżyłem. Buty te miały dwie zalety, było mi w nich bardzo ciepło i spełniały jeszcze jedną bardzo ważną rzecz: byłem wyższy. Nosilem je jeszcze parę tygodni po wyzwoleniu.

Memu ojcu przytrafiła się w lecie 43 r. straszna rzecz. W biurze posłuchał rozmowę dyrektora tartaku (hauptmann wehrmachtu) z gestapo, że jest on skłonny oddać im wszystkich Żydów pracujących w tartaku. Ojciec po chwili zgłosił się u dyrektora z „wymówieniem” pracy, motywując, że będzie pracować w swoim zawodzie tj. budownictwie. Dyrektor zbliżył się do ojca wymierzył mu potężnego kopniaka w krocze, tato na chwilę się usunął na podłogę, dyrektor cały spieniony krzyczał, że już telefonuje by go oddać policji. Ojciec wiele nie myśląc wybiegł z biura i tylną furtką z tartaku. Schował się u swego szwagra dentysty. Przez ok. tygodnia pozostawał w ukryciu śledząc czy nie jest poszukiwany i jednocześnie starał się o nową pracę, tym razem w przemyśle naftowym. Wujek mu to wszystko zorganizował i przekonawszy się, że nie jest ścigany rozpoczął prace w nafcie (Karpaten Erdöl Gesellschaft), którego dyrektorem był Berthold Beitz. Bardzo on pomagał żydowskim pracownikom. Nie dopuścił do zupełnej likwidacji Żydów w Borysławiu, tłumacząc potrzebą zatrzymania specjalistów nafciarzy. Za ten czyn został po wojnie nagrodzony Medalem „Yad Vashem”. Od sierpnia 43 r. ojciec znowu pracował.

Późną jesienią pojawiła się w lagrze moja mama. Była bardzo zmęczona schowkiem w stajni i po kilku dniowym odpoczynku, odwszawieniu i paru kąpielach w Baderaumie stanęła znowu na „nogi”. Rozpoczęła pracę w lagrowej kuchni. Byliśmy znowu razem, prawdziwe szczęście. W tym okresie nie było już „nieokaleczonej” najbliższej rodziny. W lagrze dzieci i kobiety były prawie niewidoczne.

Początkiem roku 1944 w lagrze zaczęły się pojawiać często wizytacje gestapo i SS-manów. Błady strach padł na mieszkańców. Teraz nawet drobne przewinienia karane były chłostą, niekiedy publiczną, wstrzymanie racji żywnościowej itp. Wujek, brat ojca, po śmierci żony i synka został również skoszarowany, pracował przy pracach zimnych w odległej dzielnicy Borysławia. Idąc do pracy zabierał nożną wiertarkę i najpotrzebniejsze instrumenty do leczenia zębów, wszystko to nosił przy sobie w plecaku. Oddawał wachmanom część zarobionych pieniędzy, bądź otrzymanej żywności, pozwalali mu na wynajmowanie pokoju w aryjskich domach i przyjmowanie pacjentów. Spotykając różnych ludzi wujek załatwił nam wszystkim schowek.

W lagrze było coraz niebezpieczniej, zaczęto likwidować poszczególnych pracowników, a nawet całe grupki. Nie wracali oni więcej do lagru, przepadali bez śladu. Ojciec sprzedał ostatnią drogocenną rzecz, jaka nam została, mianowicie kilku karatowy brylantowy pierścionek mamy, za ok. 140 tys. To była na owe czasy pokaźna suma.

W marcu 44r. uciekliśmy z lagru, wychodząc z kolumną Żydów prowadzonych do pracy po stronie aryjskiej. Późno w nocy weszliśmy do domu rodziny ukraińskiej, która zgodziła się udzielić nam schronienia za pieniądze. Ten schowek załatwił brat ojca, który miał do nas nieco później dołączyć. Po kilku dniowym pobycie w mieszkaniu, ojciec zrobił w szopie „ślepą” ścianę, przy której ustawił od podłogi do sufitu klatki z królikami. Do schowka wchodziło się przez uchylną tylną ściankę zawieszoną na zawiasach w jednej z klatek stojących na podłodze. Schowek idealny, dobrze zamaskowany, w środku było

wygodnie, na podłodze leżały dwa sienniki, pościel i było jeszcze ok. 3 metry wolnej przestrzeni, szerokiej ok. 1-go metra, gdzie można było odbywać „prawdziwe” spacery. W schowku panował półmrok, ale przez kilka godzin dziennych świecono naftową lampę i mogłem się nieco uczyć. Dom ten był wyjątkowo dobrze zaopatrzony w książki szkolne i do czytania, najwięcej było takich po 5-ć groszy. Ojciec od czasu do czasu wychodził niby po pieniądze, które miał od kogoś dostawać na zapłatę za schowek. Baliśmy się powiedzieć, że mamy je przy sobie, bo były przypadki obrabowania przechowywanych i wydania ich Niemcom lub w najlepszym razie wyrzucenia na ulicę. Nasza gospodyni chodziła od czasu do czasu na spotkania z wujkiem, tam gdzie on przyjmował pacjentów, aby go ponaglić do przyścia do nas do schowku. On ciągle zwlekał i odkładał o tydzień, że już przyjdzie za 3-rzy dni itd. Aż nagle pewnego dnia, końcem maja lub początkiem czerwca 44 r. lagier został zlikwidowany. Wszystkich tam obecnych wywieziono do Krakowa-Płaszowa. Ukochany brat ojca też został wywieziony do Płaszowa i tam zginął. Wszyscy wywiezieni tam zginęli!

Nasza gospodyni gdzieś w połowie lipca, w biały dzień wbiegła do szopy i krzyknęła: „utikajty nimci idut”, co znaczy uciekajcie Niemcy idą. Myśmy bez zastanowienia wybiegli na dwór, byliśmy zupełnie oślepieni jasnością dnia i promieniami słońca. Po 5-ciu miesiącach siedzenia prawie w ciemnościach nic nie widzieliśmy. Po dobrej chwili ja pierwszy zobaczyłem w oddali łąn zboża i w tym kierunku pociągnąłem rodziców. Tam też ukrywaliśmy aż do nocy. Zauważyliśmy dopiero później, że jesteśmy prawie nadzy, ja nie zdążyłem ubrać moich drewniaków. Wróciliśmy w nocy w pobliże domu gdzie byliśmy ukryci, przez jakiś czas obserwowaliśmy dom i okolicę. Mama podeszła pod sam dom, zapukała do okna wyszła gospodyni trzymając w ręku worek z naszymi rzeczami. Nie było nawet mowy o dalszym pozostaniu. Za pieniądze, które otrzymała przechowując nas kupiła kawał pola, dwie krowy i wyprawiła synowi wesele w domu panny młodej. Więcej pieniędzy nie potrzebowała, nie była

pazerna na pieniądze, spełniła swoje marzenie, a nam ocaliła przy sposobności życie, chwała jej za to. Najważniejsze, że my żyjemy, czy to nie dziw, tak zwykle mawiał mój tata.

Jeszcze tej samej nocy prawie biegiem dotarliśmy do naszej dzielnicy na Górny Potok. Tu poczuliśmy się jakoś swojsko. Siedzieliśmy w gęstych krzakach porastających głęboki jar pomiędzy dwoma wzniesieniami, jakieś 3-trzy km od najbliższych zabudowań. Mama następnej nocy poszła do naszej sąsiadki, u której byliśmy schowani. Ona nie była zdecydowana, czy ma nas przyjąć, nie powiedziała tak, ani nie. Mama wróciła tej samej nocy, przyniosła trochę jedzenia i garnuszek. Wody mieliśmy pod dostatkiem, bo na dnie jaru płynął strumyczek. Tak minęło jakieś dwa, czy nawet trzy tygodnie. Czuliśmy się tu dobrze, śpiewały ptaszki, szumiał strumyk, było ciepło i w dzień i w nocy. Po jakimś czasie słyszeliśmy w oddali jakieś jakiś dziwne grzmoty, a w nocy na horyzoncie także dziwne błyski. Tato powiedział, że to przypomina artylerię. Chyba front się zbliża. Aż tu prawdziwe nieszczęście, górą jaru o jakieś 250 metrów od nas, po przeciwnej stronie przeszło 3-ch niemieckich żołnierzy. Na szyi Niemców wisiały karabiny, szli pod górę powolutku, patrząc pod nogi, nie rozglądając się. Myśmy siedzieli co prawda w gęstych krzakach, ale licho nie śpi.

Po niedługim czasie usłyszeliśmy jak padł strzał, jakby na górze jaru dokładnie nad naszymi głowami. Powtarzało się to na szczęście nieczęsto. Po południu przechodził znowu Niemiec, niosący metalowy plecak. To się powtarzało przez dwa dni, później wszystko ucichło. Leżeliśmy ciągle cichutko, bez jedzenia i picia, prawie bez ruchu, nie wiedząc co się wokół nas dzieje i czy ci niemieccy żołnierzy są jeszcze w pobliżu. Po dwóch dnia spokoju postanowiliśmy o zmroku przekradać się w pobliże zabudowań. Stwierdziliśmy, że tu jak zwykle panuje spokój, trwa zaciemnienie, a od czasu do czasu ukazuje się światło w otwieranych drzwiach i wychodzi człowiek. Wreszcie mama odważyła się pójść do sąsiadki i po dobrej chwili wróciła, wołając na cały głos, chodźcie już są

Sowieci, już od dwóch dni są Sowieci! Jeszcze tego samego wieczoru wróciliśmy do naszego domu. Okazało się, że parter zamieszkują dwie rodziny lokatorów, a piętro jest wolne i puste, tylko ściany i podłogi. Znowu jesteśmy razem w naszym domu, żywi i cali. Z naszych osobistych rzeczy zrobiliśmy na podłodze posłanie, ale nikt z nas nie mógł zasnąć. Byliśmy spłoszeni radością, że już przeżyliśmy najgorsze, że już jesteśmy naprawdę wolni! Jeszcze ciągle nie możemy w to uwierzyć, a to prawda. Za każdym razem muszę sam siebie przekonywać, że to naprawdę, prawda! Dopiero rano, po nieprzespanej nocy i wyjściu na podwórze zacząłem w ten cud wierzyć. Ten koszmar trwał 3 lata i 2-miesiące, to była chyba dla nas cała wieczność. W następne dni przechodząc koło domów babci, wujka czy cioci, a wszystkie stały niedaleko siebie i nasz też stały przy tej samej ulicy, odczuwałem jakąś bezgraniczną pustkę i ukłucie w samym sercu.

Z 18 tysięcy Żydów, którzy mieszkali przed wojną w Borysławiu, przeżyło ok. 150 osób. Z naszej najbliższej rodziny okupacji niemieckiej zginęło 38 osób, a z dalszą aż ok. 70-t osób.

Wojska Sowieckie wyzwoli nas 17 sierpnia 1944 r.

W marcu 1946 r wyjechaliśmy z Borysławia i dotarliśmy na Dolny Śląsk do Frydlandu. Jak mawiał mój ojciec, Mojżesz po raz drugi wyprowadził nas z domu niewoli.

Na zakończenie przetoczę niepełną listę zbrodniarzy niemieckich, tych którzy działali w Borysławiu, których zapamiętałem na całe życie i niech będą potępieni i przeklęci po wszystkie czasy:

- Hildebrand , Gestapo
- Mitas, Gulden, Pöll, Nemec - Schutzpolizei
- Perec – Ukrainische Hilfspolizei

– K o n i e c -

